

O lubuskim środowisku literackim – dwa razy i z dwóch perspektyw

Dwa segmenty publikowanego tu tekstu dzieli dziesięciolecie. Oba mają po trosze rocznicowy charakter. Pierwszy przygotowany był na jubileusz czterdziestolecia powstania zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, drugi – na jubileusz pięćdziesięciolecia. W ciągu tych dziesięciu lat zmieniło się wiele. Nie jest to już jedno, ale dwa środowiska, Gorzów bowiem usamodzielniał się poprzez utworzenie odrębnego oddziału organizacji literackiej. Zapewne tamtejsze środowisko da się opisać trybem, który stosujemy w pierwszym segmencie. Być może niedługo da się to powiedzieć o Żarach. Rzecz wszakże w tym, iż to, co wydawało się ważne, ważnym być przestało. Ilościowy rozwój szedł bowiem w parze z utratą rangi. Nie organizacja parawodowa, ale raczej hobbystyczna. I tak usytuowana wobec aparatu państwa. To, dlaczego tak się stało, mogłoby być przedmiotem osobnych rozważań.

1. Cztery dekady literatury lubuskiej – z perspektywy po trosze osobistej

Tak się złożyło, iż wobec przedmiotu, o którym zamierzam tu mówić, występowałem we wszystkich możliwych rolach. Uczestnika, po trosze współtwórcy, badacza, wreszcie obserwatora. Ale, co tu dużo mówić – jestem także produktem tego, w czym uczestniczyłem. Lubuskie środowisko literackie było tym, w którym rozpoczynałem swoją działalność literacką. Debiutowałem wprawdzie gdzie indziej,

ale to czysty przypadek. Tu rozpoczynałem swoją pracę zawodową, działalność dziennikarską i krytyczną, tu po raz pierwszy zetknąłem się ze zorganizowanymi formami działalności. Wpierw młodo-, potem literackiej, że o innych nie wspomnę.

To, z czym styka się młody człowiek, staje się i swoistym wzorcem, i przedmiotem sprzeciwu. Wzorcem, bo pod jego wpływem się kształtuje, przedmiotem sprzeciwu, bo rzeczywistość zastana zdaje się go więzić i – by istnieć pełniej – stara się bądź powołać do istnienia instytucje komplementarne lub konkurencyjne, bądź rozbić istniejące, albo wreszcie je opanować. Osobliwość środowiska, w którym zaczynałem działać, polegała na tym, iż było ono młode. Województwo istniało od niedawna, środowiska dopiero się kształtowały, nie działały więc w nich te mechanizmy, które regulują systemy wewnętrznych napięć. Nie było też, co dość istotne, tradycji. Albo raczej – tradycję stanowiło to, co stworzyli moi starsi koledzy. Na dobrą sprawę wszystko to było ich dziełem. Przed nimi pustka. Albo może jeszcze inaczej – jeśli coś istniało, to było obce. Obce i wrogie. Było zagrożone. Przez rewizjonistów zachodnioniemieckich, przez możliwość unicestwienia tego, co zostało zbudowane. Bardzo trudno to dziś opisywać, bo zostało zmistyfikowane powtórnie, na stare mistyfikacje nałożyły się nowe. I wydobyć się spod nich niełatwo.

I

Stan z roku 1961, w którym debiutowałem, dałby się opisać następująco. Województwo istniało od jedenastu lat, miało kilka instytucji sprawiających, iż osiągnęło standard wojewódzkości: miało gazetę, rozgłośnię regionalną, był teatr, nawet orkiestra symfoniczna. Z natury rzeczy zawierało wojewódzkie ogniwa tych wszystkich instytucji, które miały strukturę hierarchiczną: partii, organizacji młodzieżowych, związków zawodowych i twórczych. O ile w przypadku stowarzyszenia dziennikarzy sprawa była prosta: skoro utworzono media, to musieli w nich pracować dziennikarze, o tyle w przypadku plastików rzecz miała się nieco odmiennie, po prostu ich sprowadzono. Z nakazu pracy, za pomocą stypendiów, zapewnienia etatów w instytucjach pokrewnych. Z pisarzami było jeszcze inaczej. Województwo zielonogórskie powstało zbyt późno, iżby można było powtórzyć, skądinąd raczej nieudany, eksperyment szczeciński. Nawet jeśli autorzy, którzy potem tworzyli środowisko, przed przyjazdem posiadali dorobek literacki, to przyjeżdżali tu jako ludzie innych zawodów. I w tych zawodach pracowali – Janusz Koniusz był nauczycielem (potem krótko pracownikiem aparatu partyjnego), Tadeusz Jasiński i Tadeusz Kajan – dziennikarzami, Roman Łoboda – stomatologiem, Bolesław Soliński – cenzorem. Losy innych były jeszcze bardziej powikłane – Zdzisław Morawski w Gorzowie osiedlił się po pracy w oddziałach pomocniczych UBP, pracy w aparacie partyjnym i spółdzielczym różnych szczebli

(od centralnego po powiatowy), ale także przymusowej pracy w kamieniołomach po aferze z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym. Wśród wtedy początkujących byli też aktorzy, dziennikarze, urzędnicy. Jedynym pisarzem o statusie zawodowym był mieszkający w Gorzowie Włodzimierz Korsak. Trudno jest dziś odtworzyć hierarchię wartości sprzed 1956 roku. Możemy tylko stwierdzić, iż przynajmniej dwóch autorów – Koniusz i Jasiński – mogło funkcjonować na prawach młodych, znanych w kraju, pisarzy. Koniusz – jako uczestnik młodoliterackich imprez, publikujący w czasopismach. Jeden z drugiego pokolenia socrealistów, młodszych pryszczatych, pokolenia, które mogłoby w walce o rząd dusz i przebudowę świadomości wymienić generację Andrzeja Brauna, Wiktora Woroszyńskiego i Andrzeja Mandaliana. Jak na tamte standardy duży i ważki dorobek miał także Tadeusz Jasiński: prócz druków w prasie opublikował swoje teksty (prawie pół książki) w zredagowanej przez Igora Newerlego antologii *Za wspólną sprawę robotników i chłopów*. Tyle że gdy książka ta wyszła, już szło nowe i ominął ją rozgłos, który niechybnie stałby się jej udziałem, gdyby ukazała się dwa–trzy lata wcześniej. Zamiar bowiem (przyjmujemy kryteria i aksjologię z tamtego czasu) był ambitny: opisać strajki chłopskie w II RP (czyli w Polsce, pod rządami sanacji zdążającej chyżo ku faszyzmowi) piórami młodych autorów, ukazać dojrzewanie do świadomości klasowej etc. Innymi słowy – na odmiennym materiale pokazać to, co było osnową *Pamiętki z Celulozy*. Być może później i oni napiszą klasową epopeję.

Jak się to waloryzowało w okresie, gdy autorzy ci przystępowali do zredagowania pierwszej publikacji, która miała pokazać, iż w Zielonej Górze istnieją pisarze i nawet coś w rodzaju załączków środowiska, przyznam – nie wiem. Choć przecież wydana w 1955 roku jednodniówka „Ziemia Lubuska” jest socrealistyczna z ducha. Tyle że już nie ofensywne. I, zdaje się, ów socrealizm widoczny jest raczej z dzisiejszej niż tamtej perspektywy. Zapóźnienie stało się szansą.

Po pierwsze dlatego, że socrealistyczne pierwociny nie ciążyły na dalszych losach autorów; o rozproszonych w prasie i almanachach tekstach mało kto pamiętał. Po drugie, można było zacząć (w warunkach bardziej sprzyjających) tworzyć to, co w innych, dysponujących większym potencjałem, ośrodkach robiono w latach 40. Rekonstruować lokalną tradycję. Z mniejszą niż wcześniej koniecznością wymagano przestrzegania wykładni klasowej. To przede wszystkim baśnie i dwa zbiory historycznych opowiadań Jasińskiego. Nie będzie od rzeczy przypomnienie, iż dla Szczecina pracę w zakresie rekonstrukcji lokalnego baśniokręgu Tymoteusz Karpowicz wykonał w roku 1948 (*Legends pomorskie*). W regionie karkonoskim tego typu teksty powstawały już w połowie lat 40. Powieści o Ziemiach Odzyskanych też w tym czasie wydawano. Tymczasem zbiory opowiadań Jasińskiego ukazały się w roku 1964 (*Dymy wyższe nad dęby*) i w roku 1967 (*Mieczem i krzyżem*). Mogły mieć znaczenie li tylko lokalne.

W tym kręgu, już spoza literatury *sensu stricto*, lokalizują się też dwie prace. Janusza Koniusza – *Taddeo Polacco z Zielonej Góry* i, napisana wspólnie z Joachimmem Benyskiewiczem, praca *3–0 dla polskości*. Być może nie ma to większego znaczenia, ale trudno nie przypomnieć, jakim wstrząsem była wtedy, w latach 60.!, teza Benyskiewicza, iż zasługi dla utrwalania polskości w rejonie międzyrzecko-babimojskim mieli przede wszystkim bogatsi, ekonomicznie niezależni chłopci, oni – używając ówczesnej terminologii – byli ostoją polskości. Niezamożni wyjeżdżali do Westfalii albo do Berlina, gdzie się niemczyli. Z wykładni klasowej wynikało, iż powinno być akurat odwrotnie. Skądinąd też, ale to już nieco późniejsze czasy, Związek Rzemieślników Polskich był raczej narodowy i chrześcijański niż klasowy. To wszystko z literaturą wiąże się luźno, ale mówi o atmosferze czasów.

Zielonogórskie środowisko literackie było bowiem, wyartykułujmy to jasno, produktem przemian popaździernikowych. Tyle że dokonujących się na odległej prowincji, w środowisku pozbawionym tradycji (nawet tej przeniesionej skądinąd) i względnie homologicznym. Najłatwiej pokazać to na przykładzie pisma. Jedyne spośród tu powstałych, którego znaczenie wykraczało poza region i które – trwając przez lata – samo stało się i świadectwem, i instrumentem przemian. Myślę oczywiście o „Nadodrze”. Czasopismo powstało w 1957 roku i ukazywało się wprawdzie jako jednodniówka powtarzalna, potem miesięcznik, półmiesięcznik, dwutygodnik, przetrwało okresy różnych restrukturyzacji, aż upadło w okresie transformacji ustrojowej. Powstało na tej samej fali, na której „Po prostu” z nudnego pisemka młodzieżowego zmieniło się w jedno z najważniejszych czasopism okresu, tej samej, która zrodziła cały system środowiskowych pism studentów i młodej inteligencji. Tyle że w środowiskach większych pisma powstawały parami. W Poznaniu – „Tygodnik Zachodni” i „Wyboje”, we Wrocławiu – „Nowe Sygnały” (późniejsza „Odra”) i „Poglądy”. Starzy i młodzi. Niby to samo, a przecież inaczej. Układ dynamiczny, pełen wzajemnych napięć. Tyle że dla młodych z „Poglądów” autorzy „Nowych Sygnałów” to byli „starzy”, „establishment”. Kto wtedy mógł w Zielonej Górze być establishmentem? Wszyscy, niezależnie od realnego wieku, byli młodzi i na dorobku. By zaistnieć, musieli powołać instytucje, które by to umożliwiły. Pismo, wydawnictwo, organizację literacką. Co też i zrobili. Tak dobrze, że aż do 1989 roku wszystko to działało, wchłaniając tych, co przyszli potem. Powstałe w 1957 roku Lubuskie Towarzystwo Kultury było – po doświadczeniach efemerycznych Klubów Młodej Inteligencji z okresu tużpopaździernikowego (także tu powstawały, nawet w nadgranicznym Gubinie) – instytucją względnie stabilną i rozwojową. Jego komórki pączkowały w samodzielne instytucje. Klub Literacki przekształcił się w Oddział Związku Literatów Polskich, sekcja wydająca „Nadodrze” w komórkę RSW „Prasa”, sekcja badawcza w Lubuskie Towarzystwo Naukowe... W tym też środowisku należy szukać początków uczelni wyższych.

Skoro powiedzieliśmy to, co powiedzieliśmy, należy dodać, iż taki zespół zachowań musiał wytwarzać szczególny model pisarza. Z prymatem postaw obywatelskich, funkcji tyleż twórcy, co działacza kultury, przywiązanego do form instytucjonalnych (które zresztą sam stwarza), działającego wewnątrz struktur państwa i przekształcającego te struktury. Nic z cygana, wszystko z obywatela.

Dodajmy jeszcze, iż wszyscy lubuscy pisarze byli ludźmi nowymi, w tym sensie, że – przeniesieni z odmiennych środowisk – nie mogli tu (a i nie chcieli) kultywować ich tradycji. Skądinąd zresztą nie były to normy inteligenckie, jeśli już – to plebejskie raczej.

Zreasumujmy – u genezy powstania środowiska leżała decyzja administracyjna: powołanie województwa. Potem już działał, jak go nazywa Stefan Żółkiewski, „przymus kulturowy” i jego mechanizmy. Ale to, jak ów „przymus kulturowy” się zrealizował, jakie przybrał konkretne kształty, jakie instytucje stworzył, było efektem działań tej grupki ludzi. W tym sensie lubuskie tradycje literackie są tworem ludzi z, najogólniej rzecz traktując, pokolenia „Współczesności”. Wiem, że średnio przystaje to do biografii np. Solińskiego czy Morawskiego, już raczej do Koniusza, choć przecież i jego można uznać za niedosłłego socrealistę. Doświadczenie zetempowskie w biografii tego pokolenia było jednak istotniejsze niż zwykle się sądzić, skądinąd – w mniejszym zakresie – było też udziałem i mojej generacji.

I, ewoluując, wszystko to przetrwało do roku 1989.

//

Co do tego, ile właściwie było tych pokoleń, sprawa nie jest jasna. Autorki retrospektywnej antologii poezji lubuskiej *Mieszkam w wierszu*, Małgorzata Mikołajczak i Beata Mirkiewicz, wyróżniają trzy: pierwszą tworzą „autorzy urodzeni przed wojną i w czasie wojny, którzy po roku 1945 osiedlili się na Środkowym Nadodrze”, drugą „urodzeni i debiutujący po wojnie, głównie w latach 60.”, trzecia wreszcie to „grupa poetów najmłodszych, którzy dopiero rozpoczynają swoją poetycką drogę”¹. Na użytek antologii, w której materiał trzeba pogrupować w działy, w dodatku zaś tych działów nie może być zbyt wiele, jest to podział funkcjonalny. Ale w owej pierwszej grupie znajdują się autorzy urodzeni w latach 20., 30. i 40.

W latach 1955–1956, gdy pojawiły się pierwsze sygnały tworzenia się w Zielonej Górze środowiska literackiego, i w okolicach lat 1960–1961, gdy zbudowało ono wstępne podstawy organizacyjne, usytuowanie każdej z tych grup było odmienne. Powiedzielibyśmy, iż dwie pierwsze tworzyły to środowisko, grupa trzecia

¹ Zob. *Mieszkam w wierszu. Antologia poezji lubuskiej*, red. M. Mikołajczak, B. Mirkiewicz, Zielona Góra 2001.

mogła jedynie dołączyć. Zbyt nieliczna, by zasadniczo przestrukuryzować stan zastany, powołać własne instytucje, funkcjonowała w ramach całości, która nie była jej tworem. To dopiero dwie następne zbudowały instytucje własne w latach 70. W tym sensie lata 60. są puste. Jakkolwiek wtedy to właśnie powstał pierwszy ośrodek od „grupy założycielskiej” niezależny. Myślę tu najpierw o gorzowskim, potem zielonogórskim ośrodku Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Jego założycielem był, mieszkający wtedy w podgorzowskiej Kłodawie, początkujący prozaik Zygmunt Trziszka. Ośrodek zaś działał jako ogniwo ogólnopolskiej organizacji, wpieryw przy Zarządzie Powiatowym, potem przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Wiejskiej. W tym samym kręgu należałoby umieścić Klub Literacki LTK, który – po utworzeniu oddziału ZLP – przejął tych, którzy do niego nie weszli, przy czym decydowało nie tyle kryterium wieku, co dorobku.

Możliwa jest wszakże inna stratyfikacja. Ta bowiem, o której piszę wyżej, dokonywana jest z dużej perspektywy czasowej. Patrząc z takiej perspektywy, zacierają się różnice, dostrzegalne z małej. Ot choćby ta fundamentalna, iż w pierwszej grupie da się wydzielić dwie mniejsze podgrupy. Pierwszą tworzyliby ci, którzy na Ziemię Lubuską przyjechali jako ukształtowane już osobowości, drugą ci, którzy tu dojrzewali. Cezura przebiegałaby wewnątrz roczników trzydziestych. Z natury rzeczy roczniki czterdzieste znalazłyby się w tej drugiej podgrupie. Patrząc w ten sposób, odpowiedzielibyśmy na pytanie, dlaczego ich znaczenie było niewielkie. Po pierwsze dlatego, iż ta populacja była mniejsza od innych, po drugie dlatego, iż – wobec braku wyższych uczelni, a także infrastruktury kulturalnej – od wpływ był tu największy. Ten sposób widzenia pozwala także ukazać przyczyny znacznie większej dynamiki roczników pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ich reprezentanci studiowali na WSP, tu tworzyli grupy rówieśnicze, budowali własne ośrodki skupienia i, kończąc studia, znajdowali zatrudnienie w infrastrukturze kulturalnej. W ten sposób środowisko uzyskiwało dynamiczną strukturę hierarchiczną.

Stratyfikacje z dużej perspektywy nakładają się na bardzo różne podziały czynione z perspektywy wewnętrznej. Czesław Markiewicz wyróżnia sześć kolejnych generacji. Pierwszą tworzą „pionierzy” (debiutujący przed 1956); drugą – późne roczniki trzydzieste i wczesne czterdzieste (debiutujące w latach 60.), jest to lokalny odpowiednik generacji Orientacji; trzecią – wczesne roczniki pięćdziesiąte, pomiędzy Nową Falą a generacją Wspólności; czwartą – roczniki pięćdziesiąte, debiutujące w latach 70.; piątą – roczniki sześćdziesiąte; szóstą wreszcie – roczniki siedemdziesiąte. Siebie Markiewicz zalicza do generacji czwartej. Pomiedzy nim, urodzonym w 1954, a Sobkowiakiem i Warszawskim z rocznika 1950, jest różnica generacji. Pomiedzy nim a urodzonym w roku 1979 Maciejem Zdzierskim – aż dwie. Bo pomiedzy jest jeszcze pokolenie, które reprezentuje urodzony w 1970 roku Krzysztof Fedorowicz.

Można powiedzieć jeszcze inaczej – pokolenie Sobkowiaka jest pierwszym tu urodzonym. Od niego zaczynają się dzieje tuziemców, nie przybyszy. I normy oglądu najbliższego otoczenia, które zapoczątkowało, rzutować będą na następców, unieważniając cały kompleks spraw i tematów, którymi żyła wczesna proza Trziszki, reprezentanta drugiej generacji. Z kolei generacje piąta i szósta odkrywają to, przeciw czemu działały dwie pierwsze – walory niemieckiej tradycji. Oni są stąd i na swoim, nic im nie zagraża.

Tak więc, wciąż patrząc z dużej perspektywy, całą populację zgrupujemy w trzy formacje: „pionierów”, „dzieci wojny” i generację powojenne. Pierwsza przyjechała tu w pełni uformowana i zbudowała „na surowym korzeniu” instytucjonalne podstawy ruchu literackiego, druga usiłowała ten ruch wpisać w tworzące właśnie linie podziałów, trzecia działała już normalnie, bez obciążeń wynikających ze szczególnego statusu pisarza Ziemi Zachodnich i Północnych (zwanych niegdyś „odzyskanymi”). W tej chwili produktywna jest przede wszystkim ta trzecia.

III

Warto wszakże zwrócić uwagę na kilka cech różniących sytuację tej grupy od poprzedników. Pierwsza grupa, zasiedlająca ten region, korzystała ze szczególnego statusu pionierów. Tworzyli od podstaw instytucje kulturalne i literackie, istniało też, tak powiedzmy, społeczne oczekiwanie na ich głos. Stąd każda książka, nawet jeśli był to małe almanach poetycki, była zauważalna. Ale też, ponieważ była to grupa niewielka, procesy dysocjacyjne wewnątrz niej ustępowały na rzecz procesów integracyjnych. W okolicach roku 1956 nie było lokalnego establishmentu, wobec którego mogliby ogłosić swój bunt młodszy. Takiego więc mechanizmu, który w sąsiednim Wrocławiu spowodował, iż obok „Nowych Sygnałów” powstały „Poglądy”, w Poznaniu zaś obok „Tygodnika Zachodniego”, będącego organem „starych”, młodoliterackie „Wyboje”. Równie nieliczne lokalne przedstawicielstwo pokolenia „dzieci wojny” też było zbyt słabe, by wytworzyć własne ośrodki skupienia. Generacja Nowej Fali praktycznie nie miała tu zaś swych odpowiedników. Być może do tego kręgu dałaby się zaliczyć twórczość Kazimierza Furmana, ale poza głównym nurtem. Roczniowo można tu także wpisać Wojciecha Czerniawskiego. Powiedzielibyśmy więc, iż z perspektywy tych, którzy wystąpili w latach 70., wszystko, co ich poprzedzało, zbiegało się w wielką grupę rozwiązań zastanych. To był, po raz pierwszy tak ukonstytuowany, establishment. Zapewne jakoś po swojemu go wewnętrznie różnicowali, ale przecież – z ich punktu widzenia – Soliński, Koniusz i Waśkiewicz to było to samo „Nadodrze”. Szczególny zbieg okoliczności sprawił, iż z tym ostatnim spotykali się także w literackim segmencie ich własnej studenckiej organizacji, tym razem na szczęblu

ponadlokalnym. Powiedzmy tak – pierwsza grupa, „pionierzy”, działała wewnątrz organizacji tak czy inaczej funkcjonujących na szczególnym statusie Ziemi Zachodnich i Północnych. Grupa druga, „dzieci wojny”, zbyt słaba, by wytworzyć własne, wchodziła w różnorakie struktury ruchu młodoliterackiego, wewnątrz organizacji młodzieżowych. Grupa trzecia, Andrzej Buck, Eugeniusz Kurzawa, ale i Czesław Markiewicz, a także ich rówieśnicy, dość już liczni i dysponujący poczuciem odrębności, zdołali wytworzyć własny ośrodek skupienia, funkcjonujący wewnątrz „imperium kultury studenckiej”. Tak jak istniała ona w latach 70., czego efektem było istnienie pisma („Faktor”), klubu literackiego i Klubu Dziennikarzy Studenckich, grup poetyckich i artystycznych, studenckich teatrów, kabaretów, almanachów, wydawnictw okazjonalnych, dodatków do gazet i czasopism profesjonalnych, festiwalu. Lokalny segment ruchu, który – z natury rzeczy – był częścią całości. I tak go należy widzieć.

Oznaczało to tyle, iż młody autor funkcjonował równocześnie w dwóch strukturach: literackiej i kulturowej. Jako, powiedzmy, członek Koła Młodych przygotowywał się do pełnienia roli pisarza, posiadał status kandydata do zawodu. Jako uczestnik ruchu kulturowego przygotowywał, nazwijmy to tak, alternatywną wizję kultury. Wewnątrz bowiem „imperium kultury studenckiej” funkcjonował niemal kompletny odpowiednik instytucji kultury, okreśmy nieprecyzyjnie, profesjonalnej. Łącznie z mechanizmami promocji. W jakim stopniu obie te struktury były wzajem przenikalne, nie przesądzamy. Dość, że można było funkcjonować i być identyfikowalnym wewnątrz enklawy, na wszystkich jej wewnętrznie zróżnicowanych szczeblach i w różnorodnych instytucjach. Stąd np. Kurzawę można zobaczyć w redakcji „Faktora” i dodatków studenckich, ale także w warszawskich „Integracjach”, w wydawnictwach „Akcji Chełm”, wreszcie w tygodniku „itd.”. Jego wiersze drukowało „Nadodrze”, ale debiut książkowy ukazał się w serii „Pokolenie, które wstępuje”, uczestniczył w różnych – lokalnych i krajowych – almanachach, działaniach lokalnych i mieszczących się w ponadlokalnych składowych ruchu artystycznego studentów.

Twórczość była identyfikowana w dwu perspektywach – jako część młodej poezji lubuskiej, ale także element owej kultury studenckiej. Jest to zupełnie inna sytuacja niż ta, w której autor samotnie przedziera się do instytucji upowszechnieniowych, a jego otoczeniem jest co najwyżej klub młodych piszących. Inna perspektywa oglądu zjawisk, inna świadomość uczestnictwa zarówno w kulturze, jak i w instytucjach społecznych. Inna wreszcie zdolność poruszania się w zespołach ludzkich, funkcjonowania w nich w różnych usytuowaniach.

Wystarczy spojrzeć na dzisiejszą społeczność zielonogórską, by na niekiedy istotnych miejscach zobaczyć w niej ludzi z kręgu „Faktora”. W tym względzie odpowiednik można znaleźć tylko w grupie umownie nazywanej tu „pionierami”. Ale też w tym nie różni się od reszty kraju.

IV

Mechanizmy, które wyżej opisywaliśmy, nijak nie mają się do tych, w których funkcjonują autorzy debiutujący w późnych latach 80. i 90., choć właśnie oni tworzą największą grupę czynnych tu pisarzy. Również dynamika przyrostu jest nieporównywalna z żadnym z poprzednich okresów. Można nawet powiedzieć, iż stało się tak, że to, co w latach 50. i 60. dokonywało się w wojewódzkiej Zielonej Górze, teraz dokonuje się w ośrodkach o jeden lub dwa stopnie niższych: powiatowych i małomiasteczkowych. Stan posiadania takiego np. Drezdenka, liczony almanachami, książkami, publikacjami w miejscowych pismach, jest nie mniejszy niż Zielonej Góry w okolicach 1960 roku. Nie mówiąc o Żarach czy Świebodzinie. A już w żadnym wypadku o Gorzowie.

Żeby zobaczyć różnice, można porównać biogramy autorów publikujących w dwu almanachach młodej poezji lubuskiej – moim z roku 1976 zatytułowanym *Moment wejścia* i Markiewicza z roku 1997 zatytułowanym *Rozpoznani spośród*. W tym pierwszym autorzy książek są w mniejszości, w tym drugim zdecydowanie przeważają. Są też tacy, którzy mają ich kilka i w momencie druku w almanachu przygotowywali się do sumowania dorobku. Skądinąd redaktor *Rozpoznanych spośród* był jednym z młodszych współautorów *Momentu wejścia*, w zbiorze zaś, który opracował, publikuje jego syn.

Dysponujemy dwiema książkami, które na bieżąco notują to, co w latach 90. działo się w literackiej Zielonej Górze. Są to Jana Kurowickiego *Naczynia osobności* (1998) i Czesława Markiewicza *Rozpoznany moment osobności* (2000). Ta druga zajmuje się wyłącznie autorami młodymi, z reguły debiutami. Opisany jest też piórami Kurzawy i Bucka okres „Faktora”. Jest antologia, która rejestruje stan posiadania poezji lubuskiej od początków do dziś (*Mieszkam w słowie*, 2000, wcześniej, w roku 1991, ukazała się antologia *Pieśń zostaje za nami*, opracowana przez Sobkowiaka). Dysponujemy wspomnieniami Koniusza, anegdotyczno-wspomnieniową książką Łukaszewicza (*Mój alfabet albo pstryczki i potyczki*, 1993). U progu transformacji na łamach „Gazety Nowej” Czesław Markiewicz przeprowadził – w stylu Jacka Trznadla i Macieja Urbankowskiego – swoistą kampanię lustracyjną. Te wątki wracają także w nowszej publicystyce Sławomira Gowina. Zresztą i znaczne partie książki Łukaszewicza (uprzednio drukowane w „Gazecie Nowej”) utrzymane są w stylu rozliczeń. W tym względzie też Zielona Góra nie różni się od reszty kraju. Jeśli jednak obie wspomniane wyżej antologie potraktować jako swoistą próbkę, okaże się, iż dawne hierarchie pozostały niezmienione, tyle tylko, że do dawnych dołączają nowi autorzy. Czy przewartościowane zostały aksjologie, wedle których się ich ocenia – mocno wątpię.

V

Almanach *Rozpoznani spośród* prezentuje 15 autorów, mniemam jednak, że gdyby zliczyć wszystkich, którzy debiutowali w latach 80. i 90., otrzymalibyśmy liczbę bliską setki. Czesław Markiewicz (Kurowicki także), opisując ich książki, wprowadza wewnętrzne podziały, przedstawia nurty, odmienności poetyk. Tak rzeczywiście jest. Zresztą jedni, jak np. Jacek Katarzyński, wyszli z ruchu artzinów, inni, jak Robert Gromadzki, zakładali własne grupy poetyckie (ta, którą utworzył, to „Budowa”, ale była też inna, która nazwała się „Die Hulle”), organizowali pisma, które zakwalifikowalibyśmy do kategorii artzinów, nawet jeden ze zło-tów redaktorów i autorów tych pism odbył się w Zielonej Górze. Były też inne próby budowy ośrodków skupienia, jak choćby stworzone przez Jolantę Pytel Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów wraz z wszechnicowym Uniwersytetem Poezji. Działają ośrodki Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Oddział Związku Literatów Polskich utworzył w Gorzowie i Żarach Kluby Literackie. Są nawet stowarzyszenia międzynarodowe, jak niemiecko-polski Związek Pisarzy Nadodrza, wydający dwujęzyczne pismo „Prom”.

Po „Komunikatach” Kurzawy zaczęło się ukazywać „Lubuskie Nadodrze”, pismo literackie wydawane w Głogowie. Gdyby łącznie wydrukować teksty literackie (i literatury, zwłaszcza miejscowej, dotyczące) publikowane w pismach lokalnych i sublokalnych pewnie co kwartał albo może nawet co miesiąc, otrzymalibyśmy almanach tej objętości, co *Rozpoznani spośród*.

Młody autor sytuuje się wśród literackich rówieśników, autorów starszych i doświadczonych, przeróżnych hobbystów i autorów niedzielnych. Jego wiersze, jeśli nie wpisują się w którąś z rozpoznanych poetyk, są w szczególny sposób bezbronne. W znanych nam historycznych sytuacjach z reguły wchodziły wraz z krytycznym oprzyrządowaniem. Starali się o to programotwórcy, krytycy towarzyszący. Wszyscy oni działali w układzie wielonurtowym i wielopoziomowym, ale jednocześnie jednoparadygmatowym. W takim, w którym z jednej strony istniał literacki establishment, z drugiej kwestionujący go autorzy wchodzący właśnie na rynek. Poetyki rozpoznane, społecznie akceptowane i te, które kwestionowały ich reguły. To wszystko zaś działo się w kręgu literatury wysokoartystycznej, poza którą funkcjonowały rządzące się innymi regułami: literatura ludowa, robotnicza, brukowa i popularna, wreszcie – łatwo rozpoznawalna i nie włączana do kanonu – twórczość amatorska.

Ten układ już nie istnieje. Właściwie, co już wtedy sygnalizowałem, rozpadł się w latach 70., tyle że restrykcyjna polityka wydawnicza zacierała istotne rozmiary zjawiska. Wolny rynek wyzwolił go w pełni. Najprościej mówiąc – wygląda to tak, iż unifikacja wykształcenia, częściowe przynajmniej ujednoczenie obiegu literackich i dostępu do dóbr kulturalnych powoduje ujednoczenie wytwórczości, zanikanie enklaw kultury ludowej, robotniczej, lumpenproletariackiej wreszcie. Są

to – zewnętrznie – produkty intencjonalnie wysokoartystyczne. W tym samym stopniu jak wysokoartystyczne są produkty malujących amatorów. To nie kwestia tego, że i wśród nich może się trafić malarz dużej miary, ale tego, iż, jako całość, jest to zjawisko innogatunkowe. I instrumenty, za pomocą których je badamy, są inne niż te, których używamy, opisując plastykę zawodową. Ta amatorska – jako całość – interesuje nas z powodów, wśród których artystyczne nie są bynajmniej na pierwszym miejscu. Podobnie jest z literaturą, tyle że nawykowo traktuje się ją jako, wprawdzie niejednorodną, ale jednak całość.

To już nie kwestia mechanizmów promocyjnych, ale zupełnie odmiennej niż dotychczasowa stratyfikacji wytwórczości kulturalnej. I operowanie wśród zupełnie innych rzędów wielkości.

W przypadku autorów wchodzących na rynek nie jest tak, iż dołączają do tych, którzy już są. Żeby zaistnieć, muszą zmienić nie tylko literackie hierarchie, ale także literackie wzorce, wartości, sposoby widzenia świata. Nie wpisać się w układ, ale zaproponować własny i tak go uzasadnić, iżby stał się społecznie akceptowany. Ale to by równocześnie znaczyło, odnosząc do aktualnej sytuacji, iż w ten oto sposób zamknęły się dzieje literatury XX wieku i zaczęły nowe.

VI

Jak się literacko zrealizuje – nie wiemy. Na planie świadomościowym jeden przynajmniej wyznacznik można wskazać. Otóż – z tego punktu widzenia część przynajmniej wczesnych wytworów tego środowiska (jeszcze wyraziściej artykułowało się to w publicystyce, ale ta pozostaje poza zakresem naszych rozważań) można potraktować jako odpowiedź na postulat, tak oto, w trybie pytań, sformułowany przez Czesława Miłosza w *Traktacie poetyckim*:

Któż miecz Chrobrego wydobywał z pleśni?
Któż wbijał myślą słupy aż w dno Odry?
I któż namiętność uznał narodową
Za cement wielkich budowli przyszłości?²

To była wielka problematyka prozy historycznej lat 40. i wczesnych 50. (ale powstającej często jeszcze w latach okupacji). Piastowska wizja państwa polskiego, narodowo jednolitego i w granicach bliskich tym z 1945 roku. Na lubuskim gruncie tematu tego dotyczą opowiadania historyczne Jasińskiego, obie publicystyczne książki Koniusza, reaktualizowane tradycje Babimojszczyzny, polskich rzemieślników z Zielonej Góry. Najogólniej – walka z zalewem germańskim i powrót

² Cz. Miłosz, *Traktat poetycki*, [w:] *idem, Wiersze*, t. 2, Kraków 2002, s. 200.

na historycznie polskie ziemie. Drugie stadium – tu głównie proza Zygmunta Trziszki, w mniejszym stopniu Janusza Olczaka – to scalanie się z różnorodnego etnicznie i kulturowo materiału jednolitej społeczności. W tle było jeszcze i odzyskiwanie lokalnych (ale polskich) tradycji i, jak to wtedy opisywano, duchowe zagospodarowanie Ziemi Zachodnich. W formie reliktywnej jest to obecne w wierszach Gowina, w których przyniesione z dawnych miejsc zamieszkania tradycje i zwyczaje istnieją jeszcze w opowieściach rodziców i dziadków, ale naturalnym otoczeniem podmiotu, jego „małą ojczyzną” jest Zielona Góra. Tamto jest mityczne, to prawdziwe, i jego dziecięcym doświadczeniem jest przebiecie ulicy, która najkrótszą drogą połączy siedziby WRN i KW. Przy okazji niszcząc stary ponieemiecki cmentarz. Żal, że został zniszczony, to już symptom tej nowej świadomości. I wreszcie etap na razie finalny – eseistyczno-literacka proza Fedorowicza. Jeśli dla książek z lat 60. przywoływałeś wykładnię z zakresu doktryny państwowej, można ją przywołać i tu, tyle że, bardziej jeszcze symplifikując, są to bowiem teksty nieporównanie subtelniejsze. Powiemy wówczas, iż jest to doktryna unijna (od UE). Małe ojczyzny, współżycie kultur i nacji, historyczne konflikty, które nie rzutują na *status quo*. Nie „namiętność narodowa”, ale ciekawość kulturowa. Nie konflikt, ale współistnienie. I taka tradycja, która jest wspólnym dobrem, a nie orężem aktualizowanym dla doraźnych narodowych celów. I to jest tendencja szersza, choć przecież wspólna dla całego obszaru ziem zwanych niegdyś odzyskanymi – od Gdańska, poprzez Warmię i Mazury, po Wschowę i Zieloną Górę. Jak się rozwinie, mniej zależy od samych autorów, bardziej od biegu zdarzeń. I to jest kolejny krąg, który zatoczyła literatura tu powstająca, odpowiadając na wyzwania czasu. Rzecz w tym, by poszczególne realizacje widzieć we właściwej perspektywie i z różnych punktów widzenia, także jako przejaw zmieniającej się świadomości społecznej. I by, badając je, nie popadać w błąd prezentyzmu.

VII

Nie było to nigdy środowisko duże. Nigdy też nie miało w swym składzie reprezentantów wszystkich gatunków literackich, a także autorów mogących spełniać różnorakie środowiskowe funkcje – od autorytetów (obojętnie jakich opcji) po dyżurnych wrogów ludu. Nie uformowały się tu żadne szkoły literackie, promieniujące na sąsiednie ośrodki. Krytycy, jeśli byli, to funkcjonowali samotnie, bez większego rezonansu. Przydarzyło się to mnie, przydarza się teraz. Kurowickiemu. Ten ostatni przypadek jest o tyle znamienity, iż jego sposób widzenia zjawisk literackich (pomijam doraźne recenzje z lokalnych wydawnictw) mógłby być skuteczną odtrutką na obiegowe mity i wmówienia, jego zaś koncepcje kulturowe i estetyczne zasługują na wnikliwe odczytanie. Choć nie tu akurat można znaleźć jakiś sygnał – co prawda nie wprost pominięcie jego wierszy (a jest to także,

zwłaszcza ostatnio, poeta momentami znakomity) w środowiskowej antologii retrospektywnej – *Mieszkam w wierszu*. Cokolwiek by mówić, jest w tym coś małopostkowego, choćby jego poglądy miałyby się uważać za odrażające.

Moc przyciągania ten ośrodek też miał raczej niewielką, choć przewinęło się przezeń w różnych okresach sporo autorów – od Bogdana Loebła, Salomei Kapuścińskiej po Bogusława Kierca. Ze Słupska przyjechał tu Waldemar Mystkowski, z Wrocławia powrócił Wojciech Śmigieński, nie został w tym mieście Czesław Sobkowiak, po wędrówce przez Suwałki i Białystok powrócił Eugeniusz Kurzawa. A i Kurowicki tyleż z Baranowicz, co ze Świebodzina się wywodzi. Ale większość autorów stanowią dziś ludzie w tym regionie urodzeni – dzieci i wnuki osadników.

Jeśli – jako całość – coś wytworzyło tu pewien typ działań (literackich i okołoliterackich), to na tyle uniwersalny, że w zmienionych warunkach okazał się do powtórzenia np. w Suwałkach. Są książki, autorzy, którzy funkcjonują w literaturze. Jak na tak niewielkie środowisko – całkiem sporo nazwisk. Część wymieniłem uprzednio, inne jakoś mi umknęły. Ale zbyteczne wydaje mi się przytaczanie tu ich katalogu. O większości zresztą pisałem w różnych tekstach.

Dla mnie, który po części jestem produktem tego środowiska, fascynująca także wydawała się jego obserwacja. Mechanizmy, które w środowiskach większych były trudniej uchwytnie, bo rozgrywające się w dłuższym okresie i tyjące większej populacji, tu były niemal naoczne. Czterdzieści lat i populacja (a przynajmniej widoczna jej część) nieprzekraczająca dwustu pięćdziesięciu osób. Co miało być zbudowane, zostało zbudowane. Co z tym zrobią następcy, ich sprawa.

VII, X 2001

2. Co było wielkim, małym się wydało

Przed dziesięcioma laty, z podobnej jak dziś okazji (tyle że wówczas czczono czterdziestolecie, dziś zaś – półwiecze), opowiadałem, jak lubuskie środowisko literackie jawiło mi się wpierw z perspektywy uczestnika, potem zaś obserwatora. Co do tego, że środowisko literackie, obojętnie jak je definiowano, jest wartością, raczej nie było wątpliwości. Co prawda przez lata spierano się, czy już powstało, czy raczej wciąż jest w stadium organizacyjnym. Wszelako co do tego, że powinno być, była zgoda. Tak, jak je pojmowano w latach 60. i późniejszych, środowisko literackie było składową strukturą większej – środowiska artystycznego. Od innych (dziennikarskiego, aktorskiego, muzycznego) różniło się tym, że nie posiadało instytucjonalnych umocowań. Nawet bowiem plastycy, nominalnie również „wolny zawód”, mieli firmę, Państwowe Pracownie Sztuk Plastycznych,

która reprezentowała ich interesy wobec kontrahentów. Ponadto pisarze byli grupą zawodową z wolnego naboru, państwo nie inwestowało w ich kształcenie, nie utrzymywało instytucji strzegących ich zawodowych interesów. Bardzo długo, praktycznie do 1973 roku, nie byli objęci powszechnym systemem ubezpieczeń społecznych. Jeśli nie posiadali innych uprawnień, wzorem okresu międzywojennego obejmowało ich to, co wprawdzie nazywano darem łaski, potem zaś rentą z tytułu szczególnych zasług dla państwa, uznaniową i odbieralną.

Związek Literatów Polskich i jego oddziały terenowe stanowiły w tym układzie zwieńczenie piramidy literackich instytucji i zrzeszeń, organizację o charakterze parazawodowym. Jego członkom przysługiwały, na mocy unormowań prawnych bądź społecznego uzusu, szczególne uprawnienia, różne w różnych okresach. A to prawo do dodatkowej powierzchni mieszkalnej, a to przydziały mieszkań „z puli dla specjalistów”, prawo do dodatkowego urlopu, delegowanie do prac partyjnych i społecznych (co umożliwiało uczestnictwo w imprezach poza pulą urlopową). Większe oddziały miały stołówki i przychodnie lekarskie (funkcjonujące na prawach placówek zakładowych), przy ZG ZLP funkcjonowała kasa zapomogowo-pożyczkowa, domy pracy twórczej pełniły praktycznie tę funkcję, co zakładowe ośrodki wypoczynkowe. Ponadto związek był dysponentem funduszu stypendiów twórczych i socjalnych, bezpośrednio lub pośrednio organizował płatne spotkania autorskie, imprezy literackie etc. Część tych uprawnień i funkcji dziedziczył po międzywojennym Związku Zawodowym Literatów Polskich, znaczna ich część powstała w okresie powojennym. Jeśli jednak tak będziemy to widzieć, to powiemy, iż tego typu związki twórcze, z ich rozbudowanym systemem uprawnień i powinności, są tworem państw autorytarnych. W Polsce nie posiadał ich federacyjny związek założony przez Stefana Żeromskiego, miał natomiast unitarialny związek Ferdynanda Goetla.

Jeśli ten pierwszy swoje postulaty kierował po równi do członków i ich kontrahentów (wydawców i ich zrzeszeń), ten drugi przede wszystkim do państwa i instytucji od państwa zależnych. W ten jednak sposób stawał się częścią struktur państwa.

O sprawach socjalno-bytowych była już mowa. Wobec nieistnienia placówek kształcących autorów funkcję tę sprawowały Koła Młodych i młodoliterackie organizacje funkcjonujące w ramach organizacji młodzieżowych i stowarzyszeń kulturalnych, korzystające z funduszy publicznych, realizujące owo kształcenie niesprzecznie z doktryną państwa. Choć, co oczywiste, stopień zbieżności był różny w różnych okresach. Związki twórcze realizowały, na mocy swoistej delegacji, część funkcji państwa związanych z wymianą międzynarodową, korzystając w tym zakresie z państwowych dotacji.

Państwo wreszcie normowało pisarskie zarobki. Wedle reguły, że każda praca, niezależnie od jej materialnych efektów, musi być opłacona, materialne efekty

mają co najwyżej wpływ na dodatkowe premie. Tak było, gdy stawki honorariów ustalano kwotowo, tak było, gdy coroczne waloryzacje wiązano ze wzrostem wynagrodzeń w gospodarce narodowej. Założenie w obu systemach polegało na tym, że średnia stawka za arkusz autorski (40 tysięcy znaków, około 20 stron znormalizowanego maszynopisu) równa się średniemu miesięcznemu wynagrodzeniu. Znaczyło to tyle, że – aby osiągnąć ten pułap – pisarz winien wyprodukować rocznie i sprzedać wydawcy około 240 stron maszynopisu w nakładzie podstawowym. Zakładając wszakże, iż przed drukiem część tekstów ukazywała się w czasopiśmie, w audycjach radiowych, że prezentowano je na płatnych spotkaniach autorskich (średnio 500–800 zł za spotkanie), że wreszcie dodatkowe wpływy dawały konkursowe i pozakonkursowe nagrody, można przyjąć, iż średnie pisarskie zarobki były stosunkowo wysokie.

Jeśli powiedzieliśmy uprzednio, iż organizacja pisarska, a szerzej: środowisko literackie, jeszcze szerzej: środowisko kulturalne stawało się faktycznie częścią struktur państwa bądź od państwa zależnych, to powiemy jednocześnie, iż ich powstawaniem i funkcjonowaniem rządziła – analizowana przez Żółkiewskiego – zasada przymusu kulturowego. Określa ona, że ośrodki o określonym statusie administracyjnym, np. wojewódzkim, powinny posiadać pewien zestaw instytucji kulturalnych, brak którejs z zestawu kanonicznych świadczy zaś o kulturowym zapóźnieniu.

Do wojewódzkiego kanonu – obok gazety, teatru, orkiestry, rozgłośni radiowej, potem również pisma społeczno-kulturalnego – należało także środowisko literackie. To, gdzie ono powstawało, nie było z punktu widzenia państwa obojętne. Olsztyn i Zielona Góra były ważniejsze niż np. Białystok czy Kielce. Fakt, iż tu właśnie powstała pisarska organizacja, dowodnie zaświadczał o kulturowym awansie, potwierdzając jednocześnie niezbywalne prawo do ziem przywróconych macierzy, który to argument w odniesieniu do terenów wschodnich niekoniecznie był funkcjonalny.

W ten sposób pisarz i jego organizacja, niezależnie od jakości wytworów, stawał się argumentem na rzecz polityki państwa. Skądinąd zresztą i wymowa owych dzieł, ich funkcje ideologiczne, tę politykę wspierały. Od tekstów powstałych tuż po wojnie w Jeleniej Górze i Szczecinie, po pisane w pierwszych latach 60. w Zielonej Górze. Udowadniały one prapolskość terenów pojałtańskich. Tak zresztą jak dziś powstające udowadniają ich wielokulturowość. I wtedy, i teraz tak układane antologie mają wsparcie, wtedy państwowych wydawnictw, teraz funduszy unijnych. Duch wieje kędy chce, nieźle jednak, gdy wskaże mu się kierunek i wianie wspomże.

Nie będzie przesadą, gdy powiemy, iż troska o pisarzy wynikała także z reguły dóbr nie tyle może rzadkich i cennych, co pożądaných. Każdy kłós na wagę złota – głosiło stare hasło. Słuszne, gdy kłósów jest niespecjalnie dużo, praca zaś

nad ich zbieraniem relatywnie tania bądź wręcz bezpłatna. Wtedy, by niezbrane chronić, warto nawet użyć do tego celu państwowych ustaw. Gdy wszakże jest ich dostatek, pojawia się problem kosztów pozyskania. Warto część utracić, by całość taniej zebrać.

Jeszcze w roku 1964, gdy przeprowadzono drugą w historii Polski ankietę dotyczącą, by przywołać tytuł pierwszej z 1929 roku, życia i pracy pisarza polskiego, szacowano, iż nastąpił „wyraźny relatywny spadek liczebności literatów”. W 1930 roku jeden literat przypadał na 31 400 ludności, w 1964 – na 32 600. Przy czym w pierwszym wypadku brano pod uwagę wyłącznie autorów polskojęzycznych, zrzeszonych w czterech polskich związkach pisarskich. Łącznie zrzeszały one 696 członków. ZLP w 1964 roku liczył 966 członków, z czego 566 mieszkało w Warszawie. Oddział zielonogórski liczył w tym czasie 11 członków. Zresztą także łączna liczba książek żyjących autorów polskich i przeciętna przypadająca na jednego pisarza była mniejsza. W roku 2011 Związek Literatów Polskich zrzesza 1300 członków, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – ponad 800, do obu lubuskich oddziałów ZLP (zielonogórskiego i gorzowskiego) należy łącznie 55 pisarzy. A dodać należy jeszcze sporą liczbę autorów, także tych obecnych na rynku, nieprzejawiających chęci uczestnictwa w pisarskich organizacjach, które – po prawdzie – nie są im do niczego potrzebne.

To, co niegdyś wymagało rozbudowanych działań, teraz toczy się samo. Niepotrzebne są instytucje typu poradni literackiej, działającej w latach 40. przy ministerstwie kultury, zrzeszeń w rodzaju Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy z rozbudowaną działalnością poradniczą i szkoleniową, na dobrą sprawę zbędne stały się także Koła Młodych. I – z drugiej strony – dla funkcjonowania pisarza jako pisarza organizacje pisarskie są właściwie niepotrzebne. Odgrywają rolę towarzyską raczej niż zawodową.

Z punktu widzenia państwa dawne funkcje upodrzedniły się tak dalece, że praktycznie przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie ma więc imprez w rodzaju Zjazdów Pisarzy Ziemi Zachodnich, poważnych manifestacji politycznych, zjazdów młodych pisarzy, programowych sympozjów. Zjazdy statutowe, sprawozdawczo-wyborcze, rzadko podejmują sprawy wykraczające poza problemy wewnątrzśrodowiskowe. W tym sensie skończyły się funkcje zapoczątkowane sanacyjnym programem upaństwowienia literatury. W sporach ideologiczno-partyjnych głos pisarzy jest słabo słyszalny. Te wszystkie profity, które pisarzom dawała ideologiczna zimna wojna i instytucje powoływane przez obie strony konfliktu, przestały istnieć. Wraz z nimi również szczególnie ranga zinstrumentalizowanych ról pisarza i jego wytworów, a i one same funkcjonują zupełnie inaczej.

Można bez obawy popełnienia błędu powiedzieć, iż około 60–70% pierwszych wydań polskiej literatury współczesnej funkcjonuje poza rynkiem. Niezależnie

od tego, czy koszty wydania pokryto z funduszy publicznych, sponsorskich czy autorskich, jest to jedynie produkt, nie towar. Nie jest przedmiotem społecznej wymiany towarowo-pieniężnej. W cenie nie ma tych składników, które były normą w poprzednim systemie – wynagrodzenia autora, redaktora, projektanta okładki i opracowania graficznego, redaktora technicznego, korektora, administracji wydawniczej, także kolportażu. Ich zarobki w części przeznaczone były na zakup książek. I jednak były częścią gospodarki narodowej. Książka, która jest albo przedmiotem wymiany produkt za produkt, albo wewnętrznego kolportażu, interesuje państwo o tyle tylko, o ile w wydanie zaangażowano fundusze publiczne, produkcja zaś odbyła się zgodnie z prawem.

Rezygnując z państwowej cenzury, a także z reglamentowania działalności wydawniczej, państwo zyskało absolutną wolność od odpowiedzialności za upowszechniane treści. W systemie cenzury – obojętnie, prewencyjnej czy represyjnej – dopuszczenie dzieła do rozpowszechniania oznacza, że państwo gwarantuje, że jego treści są zgodne albo przynajmniej niesprzeczne z doktryną państwa. Teraz co najwyżej państwowe instytucje mogą rozważać, czy nie łamie obowiązującego prawa, np. naruszając wartości religijne, wzywając do nienawiści rasowej etc.

Z pewnego szczególnego punktu widzenia po 1989 roku pisarze uzyskali to wszystko, o co przez lata walczyli. Jest wszakże tak, iż zyskując na wolności, traci się na znaczeniu. Uwalniając się od zniewoleń politycznych, popada się w niemniej dotkliwe zniewolenia ekonomiczne. Nie będzie tylko łatwym paradoksem, gdy powiemy, że niemal po stu latach środowisko pisarskie rozpocznie walkę o to, o co walczył założony przez Żeromskiego związek. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że u jego genezy był drobiazg – spór o markę ochronną. Szło mianowicie o to, by w trakcie druku książek wmontować w maszynę drukarską licznik, tak, by wydawca nie mógł oszukiwać autora co do liczby wydrukowanych egzemplarzy. Wtedy, tak jak teraz autor, opłacany był procentem od zysku. Zwyczajowo było to 8–12% ceny zbytu, ale płatnych z reguły od nakładu powyżej tysiąca egzemplarzy. Liczono bowiem, że pierwszy tysiąc – jeśli zostanie sprzedany – pokryje koszty. Ryzyko rozkładało się po równo na autora i wydawcę. Wydawca mógł stracić poniesione nakłady, autor zaś za swą pracę (i poniesione koszty) nie otrzymywał nic.

Mniemam, że nie więcej niż 10% czynnych autorów produkuje dzieła spełniające te warunki. Jak opłacać pracę, z której zysk jest ujemny, trudno ustalić, chyba że w trybie działalności charytatywnej, zwanej mecenatem.

Jak na razie o tym się nie dyskutuje. Tymczasem trwają spory o to, w jaki sposób dojść do 1% PKB przeznaczonego na kulturę. Związek Zawodowy Twórców Kultury domaga się przywrócenia szczególnych przepisów regulujących ubezpieczenia twórców i ich rodzin.

Osobliwie, po pięćdziesięciu latach istnienia, literackie środowisko województwa lubuskiego zyskało to wszystko, co przez lata było przedmiotem marzeń.

Jest tak liczne, jak przed laty były opiekuńcze środowiska Wrocławia i Poznania. W miastach funkcjonują rozliczne wydawnictwa, jest radio, lokalne telewizje, uniwersytet, literacki kwartalnik, prywatne i półprywatne pisma. Nawet jubileusze się obchodzi, nagrody i odznaczenia otrzymuje. A że słabo o nim słychać? Wcale nie słabiej niż o literackim Poznaniu czy Wrocławiu! Po prostu – inne są priorytety. Co było wielkie, małym się wydało.

Co słuszne i sprawiedliwe, dobre i zbawienne. A co najważniejsze – w pełni zasłużone.

XI 2011